

ADAM WIARYGA MINIEWSKI

Miłość i wojna

Powieść z dni ostatnich.

1

ROZDZIAŁ I.

— Anielko, czemu się nie ubierasz? Czyś zapomniła, że mamy pójść na podwieczorek pod „Białego Łabędzia“?

Wysoka, ciemnowłosa panna podniosła oczy z nad trzymanej w ręku książki.

— Czy ciocia życzy sobie tego koniecznie, abym towarzyszyła cioci na ten podwieczorek? — zapytała wahającym głosem.

— Cóż to znowu za pytanie?! Naturalnie, że sobie życzę! — zawołała trochę zirytowana ciotka — ale co ja widzę, ty masz znowu czerwone oczy?! Płakałaś?!... Proszę cię, powiedz mi, co znaczą te wieczne beki?! Co ci jest?

— Nic, ciociu, właściwie nic...

— Jakto nic? Bez powodu nikt przecież nie płacze. Jeżeli masz jakie zmartwienie, to chyba możesz mi o niem powiedzieć... Sądziłam, że więcej zaufania masz do mnie, twojej jedynej opiekunki.

— Ależ ciociu, ja mam do ciebie zaufanie, tylko boję się rozgniewać cię...

— Jużes mnie rozgniewała swoim płaczem, więc, proszę cię, nie irytuj mnie więcej! Mów, o co chodzi?...

— Ach! ciociu Krzysiu, to przecież już przeszło trzy miesiące upłynęło, jak nie mam żadnej wiadomości...

— Jakiej wiadomości? Od kogo?

— No od pana Kazimierza...

— Cóż to znowu za pan Kazimierz?

— Czyż ciocia nie pamięta, że to ten, który...

— Miałabym też o czym pamiętać! — przerwała siostrzenicy pani Krystyna — Wiem już, o kogo chodzi, to o tego ślusarczyka, którym zawróciłaś sobie głowę!... Proszę! I to z jego powodu wyplakujesz sobie codziennie oczy. Ślicznie będziesz wyglądała z temi zaczerwienionymi oczyma i zapuchłym nosem!

Pani Krystyna zastanowiła się nad czemś i po chwili ciągnęła dalej:

— Ale powiedzno mi, moja kochana, co to znaczy, że ty dopiero od trzech miesięcy nie masz o nim wiadomości? Więc poprzednio miałaś je?! Widocznie zatem musiałaś się z nim porozumiewać potajemnie? Ślicznych się rzeczy dowiaduję, moja panno!

Anielka zmieszała się i zaczerwieniła.

— Daruj mi, ciociu, tę tajemnicę, ale samaś temu winna... Zabroniłaś mi tak surowo, tak stanowczo widywać się z panem Kazimierzem, pisywać do niego, nie chciałaś słyszeć nawet jego nazwiska, nie chciałaś nawet widzieć jego fotografii...

— I nadal nic o nim słyszeć nie chcę, rozumiesz?! Nie chcę wiedzieć, jak się nazywa ten zuchwalec! On dla mnie nie istnieje! I ty za niego nie pójdziesz! Zapamiętaj to sobie! Tobo mi się podobało, pauna Zurakowska za ślusarza!

— Przepraszam ciocię, ale muszę jeszcze raz powtórzyć, że pan Kazimierz nie jest ślusarzem, tylko elektrotechnikiem i ma świetną przyszłość przed sobą, bo jest energiczny, pracowity, przedsiębiorczy, jak mało kto! Przed wojną jego zakład rozwijał się wspaniale! A zresztą, choćby i był prostym ślusarzem, tak, jak jego ojciec, to i tak nie pokochałabym innego, bo nie znam lepszego, dzielniejszego chłopca! Jestem pewna, że gdyby ciocia go poznała, to zmieniłaby zdanie.

— Już ja go nie chcę poznawać! Nie gardzę żadnym uczciwym robotnikiem, ale w towarzystwie ślusarzy, kowali i t. p. nie miałam nigdy upodobania. Dosyć już o tem! Zapowiadam ci, że jeżeli się dowiem o jakiej tajnej korespondencji, to oddam cię do klasztoru. Jeszcze nie jesteś pełnoletnia, moja panno i ja jestem twoją opiekunką!

— Tak, a później ciocia się gniewa, że mam tajemnicę — zauważyła spokojnie Anielka.

Pani Krystyna spojrzała ze zdumieniem na siostrzenicę. Zastanowił ją przez chwilę ten silny upór w dziewczynie zwykle łagodnej i uległej.

Ale pani Krystyna miała już takie usposobienie, że nie lubiła się długo zastanawiać nad czemś i nie umiała się długo gniewać. Machnęła więc lekceważąco ręką.

— No! Mam nadzieję, że przez wojnę wywietrzeje ta nedoręczna miłość! Dobrze, żeś się wyrwała z tego zapadłego naszego zakątka. Tam z nudów musiały ci przychodzić różne głupie myśli do głowy. Ciocia podeszła do Anielki, ucałowała ją serdecznie,

a następnie, gładząc jej bujne, ciemne włosy, mówiła głosem, w którym przebijała dobroć i miłość:

— Moja Anielko, wychowałam cię od dziecka, kocham cię jak córkę, odziedziczysz po mnie mój majątek, ale przecież nie oddam cię byle łapserdakowi. Tobie innego potrzeba męża i ja ci już takiego znajdę. No, a teraz głowa do góry! Przemyj oczy, ubierz się ładnie i pójdziemy. Pan Alfred i pan Witold czekają już pewnie na nas.

Anielka przesunęła dłonią po oczach, aby przepłoszyć, przegnać precz te szybkie, nieuchwytnie drgnienia powiek, z pod których chwilka jeszcze — a wytrysnęłyby drobne perełki łez. Przytuliła się do piersi swojej opiekunki.

— No, zbierz się, Anielko, idziemy.

— Dobrze, ciociu — szepnęła panna.

Mina jej wskazywała aż nadto jasno, że Anielka bynajmniej nie tęskni za towarzystwem panów: Alfreda i Witolda. Zgodziła się jednakowoż, nie chcąc drażnić ciotki.

Po upływie jakichś dziesięciu minut Anielka, gotowa już do wyjścia, czekała na ciotkę, naciągając rękawiczki.

Pani Krystyna krytycznym spojrzeniem obrzuciła ubranie siostrzenicy.

— Dlaczego znowu ten czarny filcowy kapelusz i stary zakiet? — zapytała. — Dobrze to było na drogę, ale tutaj, w Pradze, stolicy Czech, trzeba się porządnie ubrać!

— Kiedy my, ciociu, oglądamy tę stolicę Czech w takich niezwykle warunkach, że trudno, a nawet nie wypada myśleć o strojach! Zagnała nas tutaj przecie konieczność wojny...

— No, tak! konieczność wojny... Wojna i wojna! Każdy ma teraz jedno słowo na ustach: wojna. A przecież pomimo wojny trzeba żyć, no i trochę urozmaicać sobie życie... Niepodobna ubrać się w jakiś worek pokutny, posypać głowę popiołem i zamęczać się smutnymi myślami. To do niczego nie prowadzi.. Trzeba także umieć pokazać się wśród obcych.

— Bardzo wątpię, ciociu, czy zaimponujemy im strojami! Przeciwnie, gotowi jeszcze nabrać o nas złego wyobrażenia, pomyślą, żeśmy głupie i próżne i nie umiemy zrozumieć powagi chwili.

— Proszę cię, nie rezonuj! — zawołała, dotknięta do żywego słowami siostrzenicy, pani Krystyna. — Jesteś młoda i wielu rzeczy nie rozumiesz. Patrz uważnie, a zobaczysz, że nikt się tutaj specjalnie nie umartwia. Życie ma swoje prawa. Tylko ty od czasu tego pobytu w Krakowie zrobiłaś się zanadto mądra i udajesz sensatkę. To wcale nieodpowiednia rola w twoim wieku. Nie trzeba przesadzać. Dowiedz się także, że zależy mi na tem, abyś nie wyglądała, jak kopciuszek. Ludzie gotowi pomyśleć sobie jeszcze, że ci żaluję.

— Kto zna ciocię, ten nigdy czegoś podobnego nie ośmieli się przypuścić. O takiego zaś, coby robił takie głupie przypuszczenia, to doprawdy dbać nie warto...

— No, już dobrze, dobrze — odpowiedziała uduchowiona ciotka. — Mam nadzieję, że otrząsniesz się tutaj z parafianstczyzny. A teraz chodź, już czas najwyższy.

Wieczór był mroźny a pogodny, to też przez jasno oświetlone „corso“ praskie, piękną, szeroką ulicę „Na Příkopě“ przelewały się fale spacerowiczów.

Młodzi i starsi panowie w wysokich, błyszczących cylindrach robili swój zwykły przegląd pięknych pań, których twarze, zaróżowione od mrozu, wykwiwały, jak kwiaty, z futrzanych obramowań. Tu i ówdzie przesuwali się młode pary, zapatrzone, zasluchane wyłączenie tylko w siebie. Gdzieindziej starsi, poważni mężczyźni, prowadząc ożywione rozmowy, składali co chwila z całą powagą ukłony znajomym.

Gdzieindziej błakał się jakiś samotnik, pragnący może w tem ruchliwym zbiorowisku ludzkim zgubić, utopić dręczące myśli.

Bogato oświetlone i wytwornie urządzone okna wystaw sklepowych ciągnęły ku sobie oczy kobiet, które też pojedynczo lub grupami przystawały, sycając swój wzrok eleganckimi fatalaszkami.

Pośród tego eleganckiego tłumu przesuwali się, jak gdyby chyłkiem, to posłaniec z listem, to wyrobnik z ciężkim pakunkiem, to panna z magazynu z pudełkiem.

W powietrzu rozbrzmiewał wielojęzyczny gwar rozmów. Nierzadko słychać było polskie: „Całuję rączki“, „Jakże się kochany pan miewa?“, „To i pani radczyni tutaj?“, „Cóż pan tutaj porabia?“, „To samo, co i pan“ i t. p.

W tłum czarnych cylindrów wmieszały się tu i ówdzie siwe i czarne czapki barankowe, granatowe maciejówki, a w rój eleganckich futer i kostymów

szare świtki futrzane i kożuszki zakopiańskie. Gdzieindziej torowali sobie drogę śmiało długi chałat obywatela z Galicji.

Pani Krystyna z żywym, niekłamanym upodobaniem śledziła ten kipiący ruch uliczny. Oczy jej, rozblęśnięte radością, wyrażały jasno, że czuje się bardzo zadowoloną. Od dawna marzyła o tem, aby się dostać w takie wielkomiejskie środowisko, ale mąż jej, gospodarz zawołany, człowiek trzeźwy i praktyczny, siedział kamieniem na wsi i żonę krótko trzymał.

Rzadko kiedy mogła się pani Krystyna wyrwać na jakiś dłuższy czas do Krakowa lub Lwowa, a już o karnawałach, spędzanych w mieście, o kuracjach w krajowych i zagranicznych miejscowościach kąpielowych — o tem Wolski słyszeć nawet nie chciał. Uparcie twierdził, że w jego Zalesinkach jest doskonałe powietrze, świeże i czyste, niema więc potrzeby jeździć po nie gdzieś daleko.

„Moja kochana“ — odpowiadał zawsze żonie, kiedy ta z płaczem robiła mu wyrzuty, że pani Zagórska jedzie na lato do Ostendy, a pani Porębska do Krynicy, a znów państwo Orwiczowie, najbliżsi sąsiedzi Zalesinek, wybierają się na cały karnawał do Wiednia — „ja mam obowiązki względem ziemi i kraju i majątku nie przeszkadzam na fatalaszkę i rozmaite „bady“. Co ci po Krynicy, moja Krystiu, wyglądasz przecież zdrowo i ślicznie? Co zaś do tego, jak postępują inni — ha! to niechajże sobie robią, co się im podoba, choćby i długi, a ja będę robił swoje“.

I robił swoje. Spuściznę Anielki — folwark Polankę — oczyścił z długów, a kiedy umarł przed trzema laty, zostawił żonie majątek w kwitnącym stanie, wzorowo zagospodarowany, a oprócz tego pokazał sumę w gotowiznie.

Żaloba, a później pewne drobne kłopoty gospodarskie i rodzinne przeszkodziły pani Krystynie na razie do wyrwania się z wiejskich nudów. Dopiero wojna i najazd Moskali zmusiły ją niejako do porzucenia wsi.

Wyjechała zrazu niezdecydowana, dokąd jechać. W Krakowie zatrzymała się czas jakiś, a następnie udała się do Pragi.

Od dnia wyjazdu ze swoich Zalesinek była w ciągłym ruchu, zawsze w nowym, mało znanym lub nieznanym otoczeniu.

Fala uchodźców porwała ją i uniosła ze sobą, ale uniosła lekko, nie wyrządzając żadnej przykrości. Myśli i uczucia pani Krystyny ślizgały się tylko po wierzchu tej wzburzonej fali.

Majątna wdowa nie odczuwała dotąd żadnych trosk. Usposobienie miała przy najlepszym zresztą sercu lekkomyślne. Wojną nie przejmowała się zbyt. W szeregi walczących nie wysłała nikogo z najbliższych — była swobodna, niezależna, zdrowa, rozporządzała znacznym kapitałem, uważała się też jeszcze za młodą i przystojną — nic więc dziwnego, że odczuwała wielką ochotę, aby trochę użyć życia.

O majątek była zupełnie spokojna. Wierzyła bowiem niezachwianie, że poczciwy stary rzadca Sędziszewski, którego Wolski nazywał zawsze swoją prawą ręką, dopilnuje wszystkiego należycie i ochroni przed zniszczeniem.

Nie pozwalała więc pani Krystyna żadnym smutnym myślom zakłócać swego spokoju i starała się z pobytu w Pradze wyciągnąć jak największą sumę rozrywki i przyjemności.

Gwar i ruch wielkomiejski upajały poprostu panią Krystynę. Teraz, idąc przez „Příkopy“, z wielkim zainteresowaniem obserwowała toalety pań, porównyując je ze swoim eleganckim, pluszowym, obramowanym skunksami kostiumem — upatrywała wśród tłumu przechodniów znajomych twarzy — brała żywy udział w tem pstrem życiu ulicznym.

Piękne wystawy sklepowe zachwycaly ją. Co chwila zatrzymywała się przed jakimś jasno oświetlonym oknem, wołając:

— Anielko! Popatrz, co za śliczności i jakie tanie! Ta jedwabna bluzka „fraise“ tylko trzydzieści koron. To poprostu za beczkę! A ta seledynowa etamina, coś wspaniałego! No, Anielko, spojrz!... Gdzie ty się patrzysz właściwie?

Anielka zdradzała bardzo mierne zainteresowanie pięknymi wystawami i eleganckimi toaletami, natomiast z sympatią i współczuciem śledziła każdą niemal przesuwającą się wśród tłumu postać żołnierską. Niekiedy wyteęzała wzrok, jakby usiłując rozpoznać znajomą twarz, a zawiódłszy się, wzdychała cicho.

Właśnie pani Krystyna zachwycala się piękną „etaminą“, kiedy siostrzenica pociągnęła ją lekko za rękaw.

— Popatrz, ciociu, żołnierz bez nogi... Pierwszy raz widzę...

Ciotka odwróciła się i przez chwilę przyglądała się posuwającemu się o kulach, inwalidzie... Stra-